

# FELIX, NET i NIKA

oraz (nie)Bezpieczne Dorastanie

Dotychczas w serii ukazały się:

1. Felix, Net i Nika oraz Gang Niewidzialnych Ludzi
2. Felix, Net i Nika oraz Teoretycznie Możliwa Katastrofa
3. Felix, Net i Nika oraz Pałac Snów
4. Felix, Net i Nika oraz Pułapka Nieśmiertelności
5. Felix, Net i Nika oraz Orbitalny Spisek
6. Felix, Net i Nika oraz Orbitalny Spisek 2. Mała Armia
7. Felix, Net i Nika oraz Trzecia Kuzynka
8. Felix, Net i Nika oraz Bunt Maszyn
9. Felix, Net i Nika oraz Świat Zero
10. Felix, Net i Nika oraz Świat Zero 2. Alternauci
11. Felix, Net i Nika oraz Nadprogramowe Historie
12. Felix, Net i Nika oraz Sekret Czerwonej Hańczy
13. Felix, Net i Nika oraz Klątwa Domu McKillianów
14. Felix, Net i Nika oraz (nie)Bezpieczne Dorastanie

Rafał Kosik

# FELIX, NET i NIKA

oraz (nie)Bezpieczne Dorastanie



Ilustracje autora  
(no, nie wszystkie)



**powergraph**

Warszawa 2015

Copyright © 2015 by Rafał Kosik  
Copyright © 2015 by Powergraph  
Copyright © 2015 for the cover by Rafał Kosik and Klaudia Wawrzeszkiewicz  
Copyright © 2015 for illustrations by Rafał Kosik and Jan Kosik

Wszelkie prawa zastrzeżone.  
All rights reserved.

Redakcja: Kasia Sienkiewicz-Kosik  
Korekta: Maria Aleksandrow  
Skład i łamanie: Powergraph  
Projekt graficzny i okładka: Rafał Kosik  
Ilustracja na okładce: Klaudia Wawrzeszkiewicz  
Ilustracje we wnętrzu: Rafał Kosik i Jan Kosik

Wyłączny dystrybutor:  
Firma Księgarska Olesiejuk Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością Spółka jawna  
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki  
tel./fax: 22 721 30 00  
[www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl)



Wydawca:  
Powergraph Sp. z o.o.  
ul. Ceglowska 16/2, 01-803 Warszawa  
tel./fax: 22 834 18 25  
[powergraph.pl](http://powergraph.pl), [sklep.powergraph.pl](http://sklep.powergraph.pl), e-mail: [powergraph@powergraph.pl](mailto:powergraph@powergraph.pl)

**ISBN 978-83-64384-45-5**

Druk: Białostockie Zakłady Graficzne S.A.  
Printed in Poland, EU

*dla Jasia*





## 1. Nie widzę szans na wymyślenie czegoś rozsądnego

Zaplecze pralni Pakol Raban w żadnym razie nie dawało się opisać przy użyciu określeń pozytywnych. Było tam ciasno, gorąco, wilgotno, a do tego za jedyne źródło oświetlenia służyła humorzasta świetlówka. W deszczowe dni z nieznanymi powodami zaczynała mrugać z częstotliwością dobraną tak, by wkurzać jak najmocniej. Chudy, stały pracownik pralni, nazywał tę świetlówkę psychojarzeniówką. Właściciel pralni zaś, pan Raban, odmawiał wymiany, twierdząc, że póki nie zgaśnie całkiem, to znaczy, że działa.

Wśród okolicznych mieszkańców pralnia cieszyła się jednak dobrą opinią.

Poobijane stalowe drzwi otworzyły się, wypuszczając kłęby pary na wyasfaltowane podwórko z dwoma śmietnikami i trzema samochodami. W chmurze rozległ się szcęk zapalniczki, a po nim pojawił się pomarańczowy żar papierosa. Spomiędzy dwóch

budynków po przeciwnej stronie podwórka wylaniał się odległy wieżowiec Shard.

Drzwi się zamknęły, a chmura pary rozplynęła się w chłodnym popołudniu.

— Palisz, Nowy? — Chudy w piegowatej dłoni wyciągnął wygniecioną paczkę.

— Nie, dzięki. — Net pokręcił głową. — Preferuję inne rodzaje samobójstwa. Skok na bungee bez bungee, wiesz...

Chudy smutno pokiwał głową.

— I tak wszyscy umrzemy.

— Dzięki, że mi o tym przypominasz przed osiemdziesiątką.

— Nowy, ja ci tu mówię o tym, jak nas trują. — Chudy zaciągnął się i zakaszał, wypuszczając przy tym dym jak silnik dwusuwowy. — Co jest w tym papierosie, na przykład?

— Substancje smoliste... — Net wyciągnął z kieszeni telefon. — Daj mi chwilę, to ci powiem dokładnie.

— Nie o tym mówię, Nowy. To samo masz w konserwach, w napojach gazowanych, w chlebie i w tych... Jak wy po polsku nazywacie te sajgonki?

— Pierogi.

— No właśnie, i w pyerogee też.

Zapadło milczenie. Net zerkał z pewną obawą na kolegę z pracy. Liczba teorii spiskowych wyznawanych przez Chudego była naprawdę imponująca.

— Co można zrobić podczas przerwy na papierosa, jeśli się nie pali? — zapytał sam siebie Net. Wyjął z kieszeni paczkę żelków i wyciągnął w stronę Chudego.

— Nie, dzięki. — Chłopak pokręcił głową. — Preferuję inne rodzaje pozbywania się plomb.

Net wzruszył ramionami i wrzucił do ust trzy żelki.

— Wdychasz to z powietrzem — ciągnął Chudy — pijesz z wodą z kranu, żujesz z żelkami. To nawet jest na banknotach i drukach urzędowych.

— Co?



— To! — Chudy wyciągnął przed siebie piegowatą dłoń, na której wyraźnie było widać białe plamy bez pigmentu. Nie było jasne, co pokazuje. — To się nie bierze znikąd.

— Pracujemy w pralni, w której warunki pracy urągają wszelkim zasadom BHP — powiedział ostrożnie Net. — Nie wpadłeś na to, że to może dlatego?

Chudy machnął ręką.

— To wszystko pierdyknie — stwierdził ponuro. — A zacznie się tutaj.

Net zerknął przez ramię na drzwi. Ale Chudemu raczej nie chodziło o ich pralnię.

— Za dużo chemii wszędzie. — Chudy dyskretnie wskazał niebo. — Kontrolują nas nawet teraz.

— Chemią?

— Chemią. — Chudy znów się zaciągnął. — Satelitami. Słyszałeś o nanorobotach? Takie małe skurczybyki, że ich nie widać.

Net nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Powietrze nad miastem wypełniał niecichnący nigdy szum.

— Piątka zaraz będzie wirowała. — Chudy pstryknął końcówkę papierosa w przestrzeń. — Znam ten dźwięk wyrobionych łożysk.

Wrócili do ciasnego wnętrza zastawionego wielkimi pralkami, suszarkami i kilkoma urządzeniami, o których przeznaczeniu Net nie miał bladego pojęcia.

Pralka numer pięć była poobijanym i nadrdzewiałym grzmo-tem wielkości dwóch normalnych pralek. Przeszkłone drzwiczki spokojnie mogłyby służyć za właz do batyskafu.

Chudy sięgnął do butelki z wybielaczem i dokręcił niedokręconą nakrętkę.

— Dokręcaj to — powiedział. — Potrafi się wylać w najgorszym momencie.

— Spoko — odparł Net.

Świszcząco-jęczący dźwięk dobiegający z wnętrza narastał, co znaczyło, że wirowanie właśnie się zaczyna. Chudy naparł na pralkę z jednej strony, Net z drugiej, a urządzenie zaczęło im się wyrywać.

— Je pierdykam... — westchnął Net.

Pralka podskakiwała, jakby wewnątrz ganiało się stado dziaków. Psychojarzeniówka zaczęła migać. Wirowanie trwało długie dwie minuty, po czym dziki zmęczyły się i zwolniły. Wreszcie donośne pipnięcie oznajmiło koniec prania.

— Zażądam podwyżki — mruknął Net, wpatrując się we wciąż drżące dłonie.

— Żadnych podwyżek! — rzucił z za rogu pan Raban. — Nie ma pieniędzy. Prąd kosztuje, proszek kosztuje, woda kosztuje.

Net skrzywił się. Miał nadzieję, że właściciel go nie usłyszy.

— Żadnych podwyżek! — Pan Raban wychylił się i spojrzał groźnie na Neta. Był czterdziestoletnim Pakistańczykiem o czarnych kręconych włosach. Niski wzrost rekompensował wysoką wagą, choć to raczej nie był wynik przemyślanego działania. — Ja tu inwestuję w nowe technologie, nie w leniwe gamonie.

— Dobra, dobra. — Net wzruszył ramionami. Nie potrafił z siebie wykrzesać nawet odrobiny sympatii dla pracodawcy.

— I tak wszystko pierdyknie — podsumował filozoficznie Chudy.

Pan Raban nie zareagował. Był chyba przyzwyczajony do pesymizmu pracownika. Dyszą, przypominającą wąż do odkurzacza opleciony kilkoma dodatkowymi przewodami, przesuwiał po wiszącej we wnęce białej jedwabnej sukni. Dysza, zaopatrzona w kilka kontrolki i przełączników, wydawała z siebie delikatny szum. Urządzenie, do którego prowadził wąż, przypominało skrzyżowanie odkurzacza z robotem R2-D2. Z tego, czego dowiedział się Net, był to ultrawasher i służył do prania ultradźwiękami wyjątkowo delikatnych tkanin. Felixa z pewnością by to zainteresowało.

Pan Raban wyłączył maszynę i ocenił stan sukni. Pokiwał głową z uznaniem i nałożył na jedwabny strój foliowy pokrowiec.

— Zawieziesz to do pani Henderson. — Pan Raban wręczył Netowi kluczyki do Rovera\* i suknię. — Adres jest na etykiecie. Ale już-już.

Net przyjrzał się kluczykom. Kusiło, bardzo kusiło, i może nawet by skusiło, gdyby nie perspektywa jazdy pod prąd przez zatłoczone miasto. W Wielkiej Brytanii obowiązywał ruch lewostronny, a co gorsza poruszanie się po Londynie często przypominało walkę o życie.

— Nie mam prawa jazdy — powiedział, niechętnie oddając kluczyki.

Pan Raban złapał się za głowę.

— Po co mi pracownik bez prawa jazdy?! — wykrzyknął, wymachując rękoma.

— To jest pralnia, nie firma kurierska. — Net wzruszył ramionami. — W ogłoszeniu o pracę napisał pan, że wymagania to „pracowitość i elastyczność”.

— Co to za pracowity i elastyczny człowiek, który nie potrafi jeździć samochodem?

Stopień zdenerwowania pana Rabana można było poznać po tym, jak wysoko unosił ręce podczas gestykulacji. Teraz unosił je ledwie do wysokości brody, czyli nie było tak źle.

— Ty jedź. — Wcisnął kluczyki Chudemu, po czym przewrócił kilka kartek w wymiętoszonym zeszycie leżącym pod blatem recepcji i spojrzął na Neta. — Na szóstą jest odbiór trzech zamówień. Przygotuj do wydania.

I wrócił na zaplecze.

— Trudno jest tu zrobić prawo jazdy? — Net zerknął na kolegę z lekką zazdrością.

---

\* Ze względu na miłość autora do motoryzacji oraz jego wrodzoną krnąbrność, w tej książce nazwy samochodów są pisane wielką literą.

— Nie wiem, nigdy nie próbowałem. — Chudy wysunął się pod ladą i wyszedł przez przeszklone, zaparowane drzwi frontowe. Zadzźwięczał trącony przez drzwi dzwonek.

Tymczasem pan Raban zawiesił we wnęce grafitowy garnitur lorda Baileysa i długą kremową suknię lady Spark, po czym przymierzył się do nich z dyszą ultrawashera. Nie wyglądały jak coś, co wymagałoby prania, ale widocznie właściciele mieli na ten temat inne zdanie.

Net sprawdził na telefonie czas – jeszcze długie półtorej godziny pracy. Jeżeli właściciel pralni nie oznajmi mu, że „pracowitość i elastyczność” oznacza pracę do zmierzchu.

— Wiesz, jak wydawać pranie? — zainteresował się niespodziewanie pan Raban. — Chudy ci powiedział?

Net wzruszył ramionami.

— Ja podaję, oni biorą i dziękują. To nic skomplikowanego.

— I płacą.

— Jasne — szybko poprawił się Net. — To jest ważniejsze od dziękowania. Mogliby nawet nie odbierać, byle płacili.

Uspokojony Pakistańczyk pokiwał głową i przystąpił do starannego czyszczenia lewego mankietu grafitowego garnituru. Robił to tak starannie i z taką pasją, że Netowi przez moment wydało się, iż pan Raban odnalazł swoje powołanie.

Net otworzył drzwiczki pralki numer pięć i zajrzał do środka bębna o rozmiarach ładownika Apollo 11. Cykał stygnący mechanizm.

Wyjął trzy pachnące świeżością azurowe worki, przesywał ich zawartość do wielkiego kosza, a same worki starannie ułożył na wierzchu pralki. Reszta była prosta; wystarczyło z grubsza to poskładać, zapakować do plastikowej torby i przekazać zadowolonemu klientowi.

— Łatwizna. — Net z trudem podniósł kosz, zaniósł go na blat do pakowania i wysypał zawartość. — I co, mam teraz zwi-jać cudze skarpetki?

Przesunął wszystko na bok i najpierw zaczął wysuptywać ze sterty skarpety. Gdy odnalazł i zwinął trzy pary, tknęło go przecucie.

— Mam głupie pytanie — odezwał się z lekkim niepokojem w stronę pracodawcy.

— Nie zawracaj mi teraz głowy. — Pan Raban nawet się nie odwrócił. — Lord Baileys i lady Spark to nasi najważniejsi klienci. Za kilka dni idą na uroczystość państwową do pałacu Buckingham, gdzie będą wręczać ważną nagrodę. Muszą mieć stroje w idealnym stanie.

— Ale... Skąd wiadomo, co jest czyje?

— Na workach są numery zleceń.

Net spojrzął na leżące na palce puste worki, potem na stertę ubrań.

— To wielki błąd, że w życiu nie ma funkcji *undo* — szepnął.

— Co by teraz zrobił Felix...?

Felix Polon nie mógł go poratować, bo prawdopodobnie w tym momencie wymieniał olej w starym Austinie albo regulował naciąg paska klinowego w Vauxhallu. Nika byłaby bardziej pomocna w kwestiach ubraniowych, ale ona teraz też pracowała.

Net poczuł przemożną chęć rzucenia tego wszystkiego i wyjścia, tak po prostu, na świeże powietrze, a potem do domu. Na przeszkodzie stała mu jednak świadomość, jak dużą mają dziurę budżetową. Co więcej, to właśnie Net zawinił w obliczeniach stanu ich finansów, w wyniku czego okazało się, że ostatni tydzień wakacji w Londynie powinni spędzić pod mostem, żeby stać ich było na metro na lotnisko.

— Pomyśl o etyce pracy — szeptał pod nosem Net. — Ktoś ci zaufał, ktoś oddał ci swoje skarpety, byś je uprał i pozwijał... — nabrał powietrza i zmarszczył brwi — ... bo się jakiemuś bucowi i babonowi nie chce prać i zwijać tych skarpetek osobiście!

Kwadrans później skarpetki były pozwijane, a reszta garderoby z grubsza poskładana. Net nie znalazł jednak sposobu, by dla trójki klientów pogrupować je na trzy osobne stosiki.

Popatrzył na trzy torby z logo Pakol Raban, potem na pozornie uporządkowany chaos na blacie. Jak to podzielić na trzy?

Męskie skarpety sprawiające wrażenie najdroższych wrzucił do tej samej torby, co najdrożej wyglądające damskie figi. Dodał też dwa z trzech krawatów, które zwinął jak roladę i spiął recepturkami. W drugiej torbie postanowił pogrupować części garderoby, które prawdopodobnie należały do kogoś młodszego. Zaczął tam upychać T-shirty z nadrukami, ale zaraz pojawił się problem. Ten z napisem „Rage against Machine” zdecydowanie nie pasował do „Sprzedawca miesiąca”. No chyba że ktoś z rozdwojeniem osobowości miał dwa komplety garderoby. Nie, to mało prawdopodobne. Albo, Net zawahał się, jeden do roboty, drugi na imprezę. E, najwyżej znajdzie sobie nową pracę. Wrzucił T-shirty do dwóch różnych worków. No i na pewno logo Apple’a nie mogło się znaleźć w tej samej torbie, co logo Samsunga. Zaraz, a jeśli to wspólne pranie chłopaka i dziewczyny, którzy są fanami innych systemów operacyjnych? Trudno, niech sobie znajdą drugą połówkę z tego samego klanu. Szlafrok frotte włożył do torby, w której nie było skarpetek, no bo kto zakładałby skarpetki do szlafroka?

Bokserki sprawiły mniej kłopotów, wszystkie były bowiem takie same. No, prawie. Powkładał je więc po równo do każdej z toreb. Sprawiedliwość przede wszystkim. Został jeszcze jeden krawat bez przydziału. Po krótkim zastanowieniu Net wybrał torbę, w której wylądowało najmniej rzeczy i na pocieszenie krawat dorzucił właśnie tam.

— Zarządzanie kryzysowe mam w małym palcu — pochwalił sam siebie.

Zadzwieczał dzwonek trącony przez drzwi.

— Oj... — Net wychylił się i ujrzał małżeństwo w wieku emerytalnym. — Oj...

Rozejrzał się po blacie. Która torba mogła należeć do nich? Zgarnął tę z eleganckimi skarpetkami. Angielski gentleman po

sześćdziesiątce na pewno nosi eleganckie skarpetki. Albo ten szlafrok frotte. Cofnął się więc i zgarnął drugą torbę.

— Dzień dobry. — Net z profesjonalnym uśmiechem stanął za ladą z dwiema torbami ukrytymi za plecami.

— Dzień dobry. — Siwy mężczyzna w ciemnym garniturze przegrzebywał kieszenie. — My po odbiór... Gdzieś tu miałem numerka...

— Bez numerka nie mogę wydać prania — oświadczył Net, licząc w skrytości ducha na to, że problem uda się przerzucić na popołudniową zmianę. Popołudniowych pracowników nie znał, więc wyrzuty sumienia można było pominąć.

— Jak zwykle — westchnęła ciężko żona z blond tapirem wielkości drugiej głowy.

— Nie mogę znaleźć, Beatrice. Jestem pewien, że wkładałem go do kieszeni.

— Skaranie boskie z tobą, Henry. — Beatrice pokręciła głową z politowaniem. — Do czego się weźmiesz, to porażka. I tak przez całe życie.

Twój ślub, Henry, wpisuje się w to pasmo porażek, pomyślał Net i w tym momencie zaświtał mu genialny pomysł.

— A może pamiętają państwo, co było prane? — zapytał.

— Głównie skarpety. — Henry kontynuował poszukiwania.

Net z ulgą pyrgnął pod ladę torbę ze szlafrokiem, a na blacie położył tę drugą.

— Na szczęście jesteśmy pracowici i elastyczni, więc rozwiązaliśmy ten problem za państwa — oznajmił. — Siedemdziesiąt pięć funtów się należy.

Małżeństwo zgodnie zamarło i spojrzało na niego z zaskoczeniem.

— Eee... to znaczy siedem pięćdziesiąt — poprawił się Net.

— Tak lepiej — przytaknęła żona.

— Zaraz, gdzie to ja mam portfel...? — Henry ponownie przeszukiwał kieszenie.

— I tak całe życie. — Żona znów westchnęła ciężko, po czym sięgnęła do torby, wyjęła z niej męski portfel i podała mężowi.  
— Wzięłam, żebyś nie zapomniał.

Henry spojrzał na nią niechętnie.

— Wyjęłaś mi go z kieszeni?

— Żebyś nie zapomniał. — Ponownie sięgnęła do torebki i wyjęła kwitek z logo Pakol Raban. — Numerek też wzięłam, żebyś nie zapomniał. Niczego nie potrafisz zrobić. Ja muszę wszystko załatwić za ciebie.

— Miałaś ten numerek cały czas?

— Skaranie boskie z tobą. — Żona zamilkła, zmrużyła oczy i pochyliła się nad torbą z praniem. W dwóch palcach wyjęła z niej koronkowe figi. — A więc to tak...

Nie trzeba było wielkiej przenikliwości, żeby zauważyć, że to nie może być jej rozmiar.

Net uniósł brwi, nerwowo przełknął ślinę i zerknął przez ramię na pana Rabana, pochłoniętego ultradźwiękowym pieszczaniem prawej patki kołnierza garnituru lorda Baileysa.

— Zbiegły się? — zaryzykował, zanim pomyślał, że skoro pracuje w pralni, to zbiegnięcie się oznacza jego winę. — Eeem... wszystko upraliliśmy w trzystu stopniach.

Nikt już go nie słuchał. Beatrice okładała męża torebką, a on, zasłaniając się przed ciosami, wycofywał się do wyjścia.

— Nic o tym nie wiem — protestował nieśmiało. — Słyszałaś, trzysta stopni.

— Trzydzieści, chciałem powiedzieć — sprostował szybko Net.

— I niebieskie słoniki na białej flaneli zamieniły się w czarną koronkę? — parsknęła starsza pani, przekładając torebkę do drugiej ręki i ponawiając atak. — Ręka mnie już boli. Zobacz, do czego mnie doprowadzasz!

Chwilę później kłótnia przeniosła się na ulicę, a drzwi trzasnęły, trącając dzwonek.

— Nie zapłacili — mruknął sam do siebie Net i zerknął na zaplecze, gdzie właściciel z lubością muskał ultrawasherem



klapę od kieszeni lordowskiej marynarki. Net wzruszył ramionami i zajął do zeszytu. W planach na ten dzień było wypranie dziesięciu uniformów robotników budowlanych i strojów drużyny koszykarskiej. Tych przynajmniej nie da się ze sobą pomylić.

Pakol Raban wyłączył ultrawasher i westchnął, wzruszony, oglądając efekt swojej pracy. Delikatnie zdjął garnitur i suknię z wieszaka i starannie rozłożył na pokrytym filcem blacie.

— Idealnie — powiedział. — Suknię lady Spark zajmę się po lunchu.

— Tak, teraz to zupełnie co innego. — Net pokiwał głową z uznaniem, choć nie widział najmniejszej różnicy w wyglądzie garnituru przed czyszczeniem i po nim.

Właściciel spojrzał na niego, unosząc brew.

— Nie płacę ci za podziwianie! Bierz się do zamówienia sto osiemnaście. Jak wrócę, ma się już suszyć.

— Program trwa godzinę — zauważył ostrożnie Net.

— Użyj trybu „Express”, gamoniu. A potem sto dziewiętnaście do odbioru na rano.

Pan Raban rzucił jeszcze pełne uwielbienia spojrzenie na garnitur i suknię, po czym przeszedł pod ladą i opuścił swój zakład przez wiecznie zaparowane drzwi.

Gdy ucichł dźwięk dzwonka, Net został w pralni sam. Siódemka myła ręczniki, ósemka suszyła prześcieradła.

— Gamoniu... — powtórzył. No cóż, jego pracodawca nie był człowiekiem uprzejmym.

Rozejrzał się po zapleczu. Psychojarzeniówka zdawała się mrugać w rytm nadawanej w radiu płyty zespołu Youngs for Future, z przebojem lata, w którym najbardziej rozpoznawalnym elementem był zabijający wszystkie inne dźwięki *umc, umc, umc* automatycznej perkusji. Wciśnięte w kącie dwa worki foliowe z przyklejonym numerem sto osiemnaście stanowiły pakunek o średnicy półtora metra. Leżał na nich kolejny worek oznaczony

numerkiem sto dziewiętnaście. Net westchnął i postanowił najpierw załadować paczkę z wierzchu.

Odbiór na koniec dnia, czyli będzie się z tym męczyła druga zmiana. Już miał to wrzucić do pralki numer pięć, ale jednak ruszyło go sumienie i przeszedł kawałek dalej. Wrzucił zawartość worka do sąsiedniej pralki, której nie trzeba było trzymać podczas wirowania. Ustawił na programatorze „Delicate” i wysypał proszek. Odstawił pudełko obok pozostałych opakowań, oczywiście go nie zamykając, i ruszył po worki zamówienia sto osiemnaście. Trzeba je było załadować do trójki, która stała w najdalszym kącie zaplecza. Można to było zrobić na dwa razy – wygodnie albo na raz – objijając się o wszystko. Net oczywiście wybrał tę drugą opcję jako szybszą. Zarzucił worki na oba ramiona i przecisnął się do pralki numer trzy. Stracił przy tym kilka butelek i pudełek. Na podłogę spadło też parę szmat. Się podniesie.

Wepchnął zawartość worków do pralki i, zgodnie z zaleceniami, wybrał na programatorze „Express”.

— Łatwizna — ocenił.

A potem się odwrócił.

I zbladł.

Na podłodze leżał lordowski garnitur ochlapany wybielaczem z niedokręconej butelki i obsypany proszkiem do prania z niezamkniętego pudełka. Centralnie na przedzie garnituru widniały odciski Netowych butów umoczonych wcześniej w płynie do płukania, który się wylał z również niedokręconego pojemnika.

— Słodki jeżu... — Net zasłonił usta w niemym przerażeniu.  
— Co za lapeta nie dokręca nakrętek?

Podniósł garnitur. Rozprysnięty wybielacz pokrył przód marynarki jaśniejszymi ciapkami.

— Urban camo\* — stwierdził ponuro Net. — Lord Baileys będzie się mniej rzucał w oczy w swoim Bentleyu.

\* Urban camo – kamuflaż sprawdzający się w warunkach miejskich.

Szybko sięgnął po ścierkę i spróbował zetrzeć zabrudzenia. Jedynym efektem, jaki osiągnął, było ich rozmazanie po większej powierzchni. Wtedy zrozumiał, że sprawa jest poważna.

— W sumie to ten przykry wypadek wydarzył się w najlepszym miejscu — ocenił — w pralni. Czyszczenie ubrań to nasza specjalność.

Nacisnął „Stop” w pralce ze strojami koszykarskimi, otworzył drzwiczki i wrzucił do środka garnitur. Ustawił trzydzieści stopni, najniższą wartość, jaką się dało, i spojrzął na wyświetlacz. Przewidywany czas prania i suszenia wynosił prawie trzy godziny.

— Nie mamy tyle czasu, mój ssskarbie. — Pokręcił głową.

Pan Raban chodził na lunch do oddalonej o jakieś pół kilometra knajpy prowadzonej przez jego kuzyna i spędzał tam mniej więcej czterdzieści minut. Razem z drogą tam i z powrotem dawało to około godziny luzu.

Net zerknął na listę programów nadrukowaną na obudowie poniżej, ale była tak długa, że się od razu zniechęcił. Skoro właściciel sam poleca tryb „Express”... Net przekręcił więc programator na „Express” i, zadowolony, wcisnął „Start”. Nie zwrócił uwagi ani na to, że temperatura na wyświetlaczu zmieniła się z trzydziestu na dziewięćdziesiąt stopni, ani na to, że na liście przy pozycji „Express” było napisane: „gotowanie, turbowirowanie, miętolenie na maksa, prasowanie parowe, suszenie ekstremalne, jesteś pewien?”.

Odetchnął z ulgą. Kolejny kryzys zażegnany. Pozostało posprzątać. Zebrał wszystkie opakowania, dokręcił je dokładnie, mopem przejechał z grubsza podłogę, rozsmarowując równą warstwą wszystko, co się wylało, i stwierdził, że zasłużył na przerwę.

Z błogością pogrążył się w surfowaniu po internecie na telefonie. Nie przeszkadzały mu nawet coraz głośniejsze dźwięki trybu „Express” z obu pralek. Przypominało to mieszankę odgłosów pracującej betoniarki, hamującego tramwaju i startującej rakiety

Saturn V. Zaplecze powoli wypełniało się parą i zapachem przegrzanej izolacji, bezpieczniki buczały ostrzegawczo, licznik prądu galopował jak nakręcany samochodzik, a Net spokojnie przeglądał internet ze szczególnym uwzględnieniem stron epatujących mało wyrafinowanym humorem.

Kilka minut później brzuch donośnym burczeniem zaczął się domagać uwagi. Net, nie przerywając surfowania, wyjął z plecaka nowiutkie pomarańczowe pudełko lunchowe i położył je na obrusie. Szukanie pracy rozpoczął kilka dni temu od wydania dziesięciu funtów na to właśnie pudełko. Uznał je za dobrą inwestycję. Każdy wszak wie, że przerwa w pracy jest ważniejsza od samej pracy i ten czas należy odpowiednio celebrować. W pudełku w odpowiednich przegródkach leżały: jabłko, puszka z napojem gazowanym i kanapka z serem, przygotowana rano przez Nikę, a uzupełniona o podwójny ketchup\* już przez Neta. Net oczywiście zignorował jabłko, zajął się napojem i kanapką.

Gdy tylko wbił zęby w kanapkę, z drugiej jej strony wystrzelił szeroki strumień ketchupu i wylądował na obrusie.

I wtedy wydarzyło się jednocześnie kilka rzeczy. Dzwonek przy drzwiach oznajmił, że ktoś wszedł do pralni. Net zdał sobie sprawę, że garnitur lorda Baileysa nadal się pierze. Zerknął na wyświetlacz, który pokazywał dwie minuty do końca programu, a potem przeniósł wzrok na uwalany ketchupem obrus. Który nie był obrusem, lecz suknią lady Spark. Chłopak rzucił się, by zetrzeć ketchup. Niestety, poślizgnął się na podłodze wilgotnej od warstwy płynu do płukania tkanin zmieszanego z wybielaczem i z proszkiem do prania i łapiąc równowagę, przewrócił puszkę. Napój chlusnął na obrus, czyli suknię, tworząc większą żółtą plamę. Tego jednak Net już nie zobaczył, bo leciał na spotkanie posadzki. Złapał się krawędzi obrusu, czyli sukni, i ostatecznie lupnął o podłogę. Lekki materiał sukni łagodnie spłynął na niego.

---

\* Czyt. keczap.